Nr. 9 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 maja 1932 | Rok 54

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej, Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochronne

obowiązujące na terenie Rzeczypospolitej z wyjątkiem województwa śląskiego

(Czas ochronny oznaczony jest ciemnemi polami)

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Łosie - byki [1])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Jelenie - byki, daniele - rogacze [2])	■	■	■	■	■	■	■	■	|15		■	■
Sarny - kozły [2])	■	■	■	■	|15						■	■
Zające - szaraki [2])	|15	■	■	■	■	■	■	■	■	|20		
Zające - bielaki		15|	■	■	■	■	■	■	■	■		
Niedźwiedzie [3])	15|	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|15
Rysie [4])	15|	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|15
Borsuki [5])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■		■
Wiewiórki [6])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Głuszce - koguty	■	■	|15		15|	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	|15				
Cietrzewie - kury w wojew.: Wil, Białost., Nowogr., Polesk., Woł.		■	■	■	■	■	■	|15	15|	■	■	■
Jarząbki, pardwy		■	■	■	■	■	■	|15				
Bażanty - koguty [7])		■	■	■	■	■	■	■	■	■		
Kuropatwy w woj.. Wil., Białostoc., Nowogr., Polesk., Woł., Krak., Lwowsk., Stanisławowsk., Tarnopol. [7])	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Kuropatwy w województwach pozostałych [7])	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki . . . . od przylotu			■	■	■	■	■	■				
Słonki					15|	■	■	|15				
Bataljony						■	|10					
Dzikie kaczory [8])						■	|15					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	|15					
Dropie, dropie - kamionki (strepety), [9])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	|15				
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15|	■	■					
Dzikie indyki - samce [10])					15|	■	■	■	■	|15		
Dzikie indyki - samice	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|15		
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	|15				

Zabrania się wogóle polować na: żubry, bobry, kozice, świstaki, na samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, na niedźwiedzice od niedźwiedziątek, na głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w Województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem na cietrzewie-kury. Minister Rolnictwa uprawniony jest zezwolić na polowanie na te zwierzęta z wyjątkiem żubra i bobra.

[1]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730.
[2]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[3]) Min. Roln. z dnia 11. V. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 51, poz. 428.
[4]) Min. Roln. z dnia 23. VI. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 60 poz. 487.
[5]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[6]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 19 0 r. Dz. Ust. R. P. Nr 94, poz. 730.
[7]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[8]) Min. Roln. z dnia 20. X. 19 1 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[9]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730
[10]) Min. Roln. z dnia 26. VI. 1929 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 50, poz. 416.

Wszystkie terminy ochronne należy rozumieć włącznie

MAGISTRAT KRÓL. STOŁ. MIASTA LWOWA
L. ZD. 113/32 r.

We Lwowie, dnia 19 kwietnia 1932 r.

OGŁOSZENIE LICYTACJI

Magistrat król. stoł. miasta Lwowa rozpisuje niniejszem publiczną licytację ofertową na wydzierżawienie prawa polowania na okres 6 lat, t. j. od 1 maja 1932, do 30 kwietnia 1938, w rewirze Pniatyn, pow. Przemyślany, o powierzchni około 850 morgów.

Warunki dzierżawy są do przeglądnięcia w Z. d. i m. m., Lwów, ul. Skarbkowska 26/III p. Czynsz dzierżawny ustala się w złotych. Do oferty należy dołączyć kwit na złożone w Kasie miejskiej wadjum w wysokości 10% oferowanego czynszu dzierżawnego. Opieczętowane oferty należy wnosić najdalej do dnia 10 maja 1932 r., do godziny 12-tej w południe, do biura Z. d. i m. m.

Wiceprezydent m. Lwowa
Dr Zdzisław Stroński

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11. III p.

Biuro M. T. Ł. podaje niniejszem do wiadomości, że część własnych i komisowych wydawnictw może oddać po cenach zniżonych, jak następuje:

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk	zł 1·—	(zamiast 6·—)
Lisowice III. tom	„ 1·—	„ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku	„ 1·—	„ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek	„ 1·—	„ 3·—
Roczniki „Łowca" od 1928 r. po	„ 10·—	„ 20·—

Sztolcman Jan: Żubr	zł 3·30
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910	„ —·30
Ustawa Łowiecka R. P. P. z r. 1927	„ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: „Słonka"	„ 2·50

z doliczeniem opakowania i porta

Wiadomości handlowe

Ceny targowe zwierzyny łownej w kwietniu 1932 r.

Sarnina kg	od zł 0·00	do 0·00
dzik kg	„ „ 0·50	„ 0·00
zając ze skórą	do „ 0·00	
„ bez skóry	od „ 0·00	„ 0·00
bażant	od zł 0·00	do 0·00
kaczka	„ 2·00	
słonka	„ 2·50	

Ceny surowców zwierząt futerkowych pochodzenia kraj.

Kuna (różnica między kaminką a tumakiem nieznaczna)	od zł 80·00	do 90·00
wydra waha się w granicach	„ „ 90·00	„ 100·00
lis który dawniej królował, dziś niema wielkiego popytu, to też cena lisa wynosi	„ „ 35·00	„ 45·00
tchórz	„ „ 13·00	„ 18·00
borsuk	„ „ 13·00	„ 15·00
wiewiórka	od zł 1·20	do 1·50
gronostaj	„ „ 9·00	„ 0·00
zając	„ „ 1·00	„ 0·00
króliki	„ „ 0·40	„ 0·80
skóra sarnia	„ „ 2·00	„ 2·50
skóra jelenia	„ „ 4·00	„ 5·00
skóra z dzika	„ „ 5·00	„ 8·00

TREŚĆ NUMERU 9:

Nr. 9 We Lwowie, 1 maja 1932 Rok 54



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WALNE ZGROMADZENIE
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

odbyło się w Warszawie dnia 17. kwietnia b. r. Prezesem Związku wybrany jednogłośnie gen. dyw. Kazimierz Sosnkowski. Juljusz hr. Bielski, ustąpiwszy po 9-letniem urzędowaniu, mianowany w uznaniu zasług, pierwszym Członkiem honorowym Związku. Wiceprezesami pozostają: płk. Konstanty Chłapowski, gen. dyw. Kazimierz Fabrycy, Edward hr. Krasiński i Bolesław Świętorzecki, piątym wiceprezesem wybrany Maurycy hr. Potocki. Dwaj przedstawiciele MTŁ. weszli w skład Zarządu Związku.

(Zob.: Sprawozdanie delegatów M. T. Ł. na Walne Zgromadzenie Związku, przedłożone Wydziałowi M. T. Ł. dnia 20 kwietnia br. str. 124).

WŁADYSŁAW BURZYŃSKI

Posezonowe

Mam z mego Podkarpacia do zanotowania parę spostrzeżeń z minionych sezonów — ku ewentualnemu użytkowi Braci po broni. — A rozchodzi mi się właśnie o tę broń kulową, na grubego i na drobnego zwierza.

Poczucie pięknego strzału jest koroną trudu łowieckiego; im ten trud, im sztuka osiągnięcia go były większe — tem wyższa satysfakcja, im zwierz grubszy, tem korona ta cenniejsza i trwalsza. — Na odwrót — tem cięższe zmartwienie i strata, gdy przy powyższych danych — strzał zawiódł.

Te nie ulegające kwestji pewniki są wciąż aktualne i w praktyce stosowane, a mimo tego grzeszymy przeciw nim tak często — i zamiast owej korony unosimy z łowiska zgryzotę do domu.

Zastanówmy się nad jedną z przyczyn.

Knieje, na ogół biorąc, nie stają się w podchodzie trudniejsze, niż były; to samo można powiedzieć o ostrości zmysłów ochronnych zwierza. Broni — z postępem jej techniki, mamy coraz większy wybór, o coraz wyższych datach balistycznych. Gdzież leży powód, że wciąż tak duży procent strzelanego zwierza przepada?!

Przypuszczam, że prócz ściśle osobistej kwestji opanowania nerwów w momencie strzału — należy szukać

jednej z przyczyn właśnie w rosnącej obfitości typów broni z stąd trudnego doboru jej do kniei, do warunków polowania — i do samej zwierzyny. Wpływu tych okoliczności, zdaniem mem, nie docenia się należycie. Nadto osobną i rosnącą trudnością jest właściwe ocenienie z punktu walorów myśliwskich najrozmaitszych typów ładunków, a przedewszystkiem pocisków, coraz to na rynek łowiecki wnoszonych i reklamowanych po cennikach przez produkujące firmy.

Dla jednych nabywców decydującym jest tysiąc i więcej metrów chyżości początkowej (Vo) pocisku, drugim imponuje kolosalna (teoretyczna w praktyce) energja jego uderzenia $\left(\frac{P V^2}{2 G}\right)$ np. 500 mkg i więcej t. zw. żywej ich siły, a wszystko przy niesłychanej dotąd centrowności strzału i, rozumie się, dalekonośności, jako rezultatu z chyżości i małego kalibru pocisku.

Tymczasem co mówi miniony sezon?!

Nawet w tym ostatnim, gdzie polowano przecież na grubo białej stopie na jelenie rykowiskowe — parę ich strzelanych z takiej broni, przepadło! A o wielu takich przypadkach wie tylko knieja i najbliższe otoczenie. — Można sobie wyobrazić co się dzieje na rykowisku normalnem, t. j. na czarnej stopie, gdy śledzenie postrzałka jest o 90% trudniejsze niż na śniegu, a nie ma pod ręką farbowca (niestety w Karpatach mało gdzie znanego, a nader cennego psiego pomocnika).

Aby wejść nieco głębiej w sprawę właściwej kulowej broni myśliwskiej, wracam do uwagi, że warunki ze strony zwierzyny, jej wytrzymałości fizycznej i jej podchodu, w zasadzie nie zmieniają się; doszedłszy więc empirycznie do przekonania, że broń o pewnych wartościach balistycznych, a więc o pewnej chyżości początkowej i odpowiednim opadzie poisku, np. V0:750—800 m, dostatecznie opanowuje powyższe środki ochronne, któremi zwierz dysponuje — powinniśmy tę balistykę uznać za właściwą i stale jej używać, przystosowując tylko jak najlepsze środki optyczne pomocnicze w mierzeniu (celowaniu) — a to dla uzyskiwania jak najlepszych danych do pewnego strzału. Natomiast całą uwagę należałoby poświęcić doborowi kalibru i jakości pocisków. W tym kierunku jest bardzo wiele do rozważenia tak z obecnej praktyki, jak celem racjonalnego postępu.

Zastanówmy się, że jeden z najmniejszych poważnych pocisków płaszczykowych, którego od lat trzydziestu używam na zająca i t. p., waży okrągło dwa gramy (kal. 5,2 mm); natomiast najgłośniej teraz reklamowany pocisk na jelenia i inną grubą zwierzynę, waży circa 12 g (kal. 8 mm: torpedo, Magnum, Supra-magnum etc.). — Przyjmując przeciętną wagę zająca na cztery kg, a tęgiego karpackiego byka na czterysta kg, — widzimy, że w pierwszym wypadku dwa gramy pocisku kładzie cztery kg żywej masy, a w drugim dwanaście gramów — czterysta kg żywej wagi! Już to samo zestawienie wykazuje niesłychaną dysproporcję kul w użyciu, gdyż przy równych, względnie proporcjonalnych zresztą danych — jeżeli ten najmniejszy poważny na zająca pocisk waży aż dwa gramy, to na jelenia powinienby ważyć sto razy więcej, t. j. najmniej dwieście gramów! (Stosunek masy zwierza: 4 kg do 400 kg). — Na tem jednak nie koniec.

Empiria uczy, że trudność zbudowania pocisku odpowiednio zachowującego się w ciele zwierza (aby go odrazu i stale z nóg zwalać i zabijać) — rośnie co najmniej do kwadratu z chyżością kuli, a maleje z jej rosnącym kalibrem!

Rzecz ma się tak. Naturalnie, że teoretycznie, im szybszy pocisk, tem — przy innych danych, równych — jest lepszy, bo 1) parabola jego lotu tem więcej zbliżając się do linji prostej, odpowiednio zmniejsza jego opad; nadto 2) większa szybkość daje mu większy współczynnik do osiągnięcia maksymalnej energji końcowego uderzenia. W praktyce jednak pociski o najnowszych olbrzymich chyżościach — albo przeszywają zwierza, jak strzała — i dopiero po za nim lokują (wyczerpują) swą olbrzymią żywą siłę uderzenia, — ta więc idzie na marne, albo na odwrót rozpryskują się na pierwszej przeszkodzie, czy to gałązce, czy żebrach i t. p. zwierza — i nie dochodzą tam gdzie zamierzone, względnie działają za płytko. W obydwu wypadkach zwierz zwykle bywa stracony — ku największemu zawodowi strzelającego. Powyższe fakty muszą wywołać pytanie — dlaczego więc przy tak wysoko dzisiaj stojącej technice amunicyjnej nie wyrabia się pocisków myśliwskich, krótko mówiąc, — należytych!

Gdybyż ogromną energję powyższych dwunastu gramów, którą posiadają dzięki swej chyżości, umiano okiełznać i zużyć w pożądanym momencie! Nie potrzebaby wtedy szukać podniesienia ich skuteczności łowieckiej przez obniżanie takiej zalety jak chyżość — a to zwiększaniem kalibru i wagi. Ale fabrykant, aby w tym kierunku postępy czynić — musiałby przeprowadzać ciągłe doświadczenia na żywem ciele o rozmaitej odporności — tak, jak dziki zwierz jest rozmaity! Temu celowi nawet wielkomiejska rzeźnia niezupełnie odpowie. Fabrykant poprawia więc swe pociski myśliwskie, opierając się raczej na negatywnych doświadczeniach w kniei — i na teorji.

Pamiętajmy przytem, że dotycząca technika jest przedewszystkiem na usługach Aresa, boga wojny, a nie Diany! Tam zaś chyżość pocisku raczej nigdy nie jest dostateczna (im większa, tem pocisk może dalej sięgnąć), natomiast reguły hygieny wojennej (w teorji) każą, by pocisk o ile możności nie zabijał — ale tylko „ubezwładniał"! My w łowiectwie, przeciwnie, chcemy zabijać ugodzonego zwierza — i to o ile możności na miejscu. Technika nie głowi się więc zbytnio nad pociskami dla nas, tylko raczej dodatkowo, tem bardziej, że jak to już zaznaczyłem, bez porównania łatwiej zbudować odpowiednio opancerzony „torpedo" pocisk karabinowy, by kilku ludzi przestrzelił, a ubezwładniał jeszcze na parę kilometrów odległości, — jak kulę, którąby przy powyższej olbrzymiej chyżości całą energję uderzenia zużywała we wnętrzu trafionego zwierza — nota bene, nie

za płytko — i dobrą farbę zostawiając! Takie są bowiem myśliwskie wymogi, a trudność osiągnięcia ich rośnie wciąż w miarę powiększania chyżości początkowej pocisku.

Zważywszy wszystko powyższe, musimy sobie postawić inne pytanie — czy więc niema dla myślistwa na razie właściwszej drogi, jak wiecznie niewolnicze trzymanie się tropów techniki wojskowej?

Otóż jedną taką drogę już wyżej podany fakt nielogiczności wzajemnej obecnie używanych pocisków (dwa gramy na zająca, dwanaście gramów na jelenia) — wskazuje. Nie trzeba wcale iść extremami. Mem zdaniem wystarczy już tylko choćby podwoić wagę kuli przeznaczonej na grubego zwierza, t. j. z 12-tu powiększyć na 25—30-tu gramów, aby pożądany cel osiągnąć.

Tę wagę trzeba lokować nie w niepomiernej długości pocisku, lecz w zwiększonym jego kalibrze (9,5—11 mm). Gdybyśmy pod taki pocisk (naturalnie płaszczykowy) chcieli dać odpowiednią ilość prochu, by się utrzymać przy tysiącowej chyżości początkowej (V0), odnośna broń musiałaby mieć wagę nie do zniesienia, zwłaszcza w górach, przez najsilniejszego strzelca, a strzał sam również nie należałby do „lekkich". Podniosłem jednak poprzednio, że w warunkach naszego myślistwa wystarcza V0 — 750 do 800 m. Temsamem broń nie potrzebuje w żadnym razie przekraczać 4 kg wagi, a zyskuje nader ważną okoliczność — oto przy tej chyżości i kalibrze — łatwe warunki dla budowy dobrych pocisków, któreby u wchodu odpowiednio sztancując, zapewniały farbę, a dalej, wobec znacznej powierzchni czołowego parcia i ogromnej energji (400 do 600 m kg), silnie deformując, — całe potężne uderzenie obracały na wewnętrzne działanie i powalenie zwierza.

Broń kulowa na drobnego zwierza. I tu rządzi bogini, a choć lżejszego typu, ale o swoistym wielkim uroku — tylko trzeba się na nim poznać.

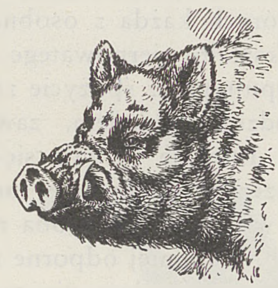
Jeżeli przy grubym zwierzu pierwszą i główną zasługą dobrej kuli jest, że on padł wogóle, to przy drobnym zasługą właściwie dobranego pocisku jest podniesienie masowego odstrzału z klasy, że się tak wyrażę, myśliwskiego rzemiosła, strzału śrutowego — do wysokiego sportu, a nieraz sztuki. A więc jakże się potęguje satysfakcja strzelca, który się na tych finezjach rozumie!

Od szeregu lat dzierżawię jedno gminne polowanie. W minionym sezonie, zmuszony artretyczną niedyspozycją nogi, nie polowałem zupełnie w kilka strzelb i nagonką, ale tylko podjazdem, czy to wózkiem, czy saneczkami — do czego gminne bardzo obrzednie laski i łazy specjalnie się nadają. Napotykane zające, traktując moją skromną i cichą aparycję o jednym koniku — na równi z codziennym widokiem hucuła po gałęzie, czy mech etc., reagują niedalekiem przenoszeniem się z miejsca na miejsce swoistą metodą kicania, lub krótkiego galopka z obserwacją na dystans „słupkiem" i t. p.; więc dają idealną okazję memu sztucerkowi z lunetką do lokowania kulki kal. 5,2 mm z zupełnem opanowaniem łowiska 200 kroków w koło — i przy minimalnem jego niepokojeniu.

Tą metodą podjąłem w ciągu sezonu przeszło czterdzieści zajęcy, a obecnie, w marcu konstatuję z pełną satysfakcją zadowalający procent tropów na śniegu, dowodzący stanu pozostałych na sezon następny kłapouchów, że pewne już zupełne wyginięcie pierwszego lęgu mało mię niepokoi.

Niezależnie od powyższej metody — temuż sztucerkowi zawdzięczam kilka strzałów zasiadkowych w noc księżycową przy wabiu z podejmowaniem lisów, puhacza, a po wschodzie słońca gołębiarzy w pysznej zimowej szacie.

Miewałem w życiu sezony, w których grube setki zajęcy kładłem, sypiąc śrutami, a w tem polowania jednodniowe z liczniejszym rozkładem, jak powyższy kulowy całoroczny, — ale nie oddałbym tego ostatniego, za tamte razem wzięte.



BOGUMIŁ MAGDZIŃSKI

Kokcydiosa zajęcy i sposób jej zwalczania

Zająca należy zaliczyć do tego gatunku zwierzyny, który zapada bardzo często na różne choroby, co jest powodem częstego wahania się stanu zajęcy. Jedną z b. niebezpiecznych chorób, szczególnie dla młodych zajęcy, jest kokcydiosa, występująca przeważnie jako kokcydiosa jelita i wątroby. Kokcydiosa dziesiątkuje nieraz w zastraszający sposób stan zajęcy, pociągając za sobą nietylko młode, ale i starsze sztuki.

Kokcydiosę wywołuje pasorzyt Coecidium oviforme s. cuniculi (Eimeria Stiedac) należący do podgromady Telosporidia, a gromady sporowce: jednej z czterech gromad typu pierwotniaków. Jest on długości 0,032 do 0,037 mm i szerokości 0,015 do 0,02 mm. Rozwój kokcydiosy jest bardzo skomplikowany. Zarazek dostaje się z pokarmem w formie oocysty do żołądka zająca, gdzie dzięki kwasom żołądka, rozpuszcza się osłonka oocysty. Z oocysty wydostają się wówczas zawarte w niej sporozoity, które wędrują do komórek jelita, aby tam odbyć przemianę na nieco większe twory, tak zwane schizonty. Z nich powstają w rozrodzie bezpłciowym (schizogonja czyli szczeporództwo) liczne sporozoity pręcikowate zwane merozoitami, które przez to, że napadnięte

przez nich komórki ściany jelita pod ich wpływem mar- nieją — uwalniają się, wydostają na zewnątrz, znajdując znów okazję do osiedlenia się w nowych, jeszcze wolnych komórkach, gdzie znów w schizonty wyrastają. Czynność ta powtarza się dużo razy, następując po sobie szybko, tak, że w bardzo krótkim czasie napadnięte i zniszczone zostają wszystkie komórki kosmków jelita w najbliż- szem sąsiedztwie. Z czasem jednak rozmnażanie paso- rzyta przez szczeporództwo się wyczerpuje i z wtar- gniętych do komórek merozoitów nie wytwarzają się więcej schizonty, lecz dwie niepodobne do siebie formy płciowe, tak zwane makroganety i mikroganety. Mikro- ganety łączą się z makroganetami i przez rozród ten, zwany sporogonją lub gamogonją, powstają znów w du- żej ilości oocysty, wypełnione protoplazmą, zawierające jądro i otoczone podwójną skorupką. Oocysty dostają się z odchodami zająca nazewnątrz, w których w ko- rzystnych warunkach, jak odpowiednia temperatura, wil- goć, światło i dostateczna ilość tlenu, tworzą się cztery sporoblasty, z których każda z osobna rozpada się na dwie sporozoity kształtu sierpowatego.

Zarażenie następuje przez spożycie zabrudzonej wody i pokarmu zabrudzonego kałem, zawierającym cysty z chorych zajęcy. Infekcja rozwija się pomyślnie prze- dewszystkiem przez przyjmowanie mokrego pokarmu, to też w porach wilgotnych choroba rozwija się w za- straszający sposób. Najmniej odporne na kokcydiosę są przeważnie młode zające, lecz nie przesądza to, aby i starsze nie ulegały tej chorobie. W niektórych latach występuje kokcydiosa wprost epidemicznie, wówczas obniża się stan zwierzyny bardzo poważnie, czego przy- czyną, jak to już niejednokrotnie stwierdzono, jest je- dynie kokcydiosa.

Choroba objawia się w trzech organach, mianowicie: w jelicie, w przewodach żółciowych i w nosie. Śmiertel- ność jest nadzwyczaj wielka, bo pada zwykle 90 do 100% młodych zajęcy, zarażonych tą chorobą. Starsze, silniejsze sztuki, przetrzymują chorobę i nie zapadają ponownie. Obecność pasorzytów w jelitach wywołuje nietylko ciężką, nieustającą biegunkę, lecz przy chronicz- nym przebiegu choroby powoduje objawy anemji, ogól- nego wychudnięcia i wyczerpania, to też pod koniec choroby zające bywają bardzo wychudzone i osłabione tak, że można je schwytać bez większego wysiłku. — Przed padnięciem (5 miesięcy) leżą zupełnie nieruchome jakby sparaliżowane, aby niebawem w skurczach mięśni i drgawkach kończyn, zakończyć życie.

Kokcydiosa jelit. Makroskopiczne badania na padli- nie wykazują przepełniony karmą żołądek, ponieważ pokarm bywa spożywany jeszcze krótko przed śmiercią. Natomiast duże zmiany zauważa się w dwunastnicy, w jelicie, a przedewszystkiem w jelicie cienkiem. Dwu- nastnica jak i jelita, są wypełnione czerwono-żółtą ślu- zowatą masą, którą zauważa się przez szkliste i prze- źroczyste ściany jelita. W szklistej tkance jelita wystę- pują bardzo wyraźnie mocno napełnione naczynia krwio- nośne aż do najdrobniejszych rozgałęzień. Błona śluzo- wa jest wyraźnie zaogniona i nabrzmiała. Owrzodzenia i opuchnięcia błony śluzowej wywołują również infek- cję spowodowaną innemi bakterjami. W preparatach mikroskopowych z jelita widzi się, tak kosmki jak i gru- czoły jelita gęsto pokryte kokcydjami. Jądro komórki jest usunięte na bok a prawie całe jej wnętrze zapełniają bakterje. Kokcydje te są w kształcie okrągłym lub owal- nym i nie posiadają osłonki. Skutkiem stałego powięk- szenia się pasorzyta, komórki z czasem zanikają. Kosm- ki w preparatach są nieco wydłużone.

Kokcydiosa przewodów żółciowych. Oprócz kokcy- diosy jelita, odgrywa poważną rolę zachorzenie wątroby skutkiem inwazji pasorzytów-kokcidyj. Przebieg tej choroby jest chroniczny. Choroba zostaje wywołana przeważnie skutkiem uprzedniego zachorzenia jelita. — Chore przewody żółciowe powodują chorobę wątroby (Coccidiosis hepatis), pomimo, że właściwie chorują

STANISŁAW WINIARSKI

Dziwna przygoda

Opowiastka gajowego Dmytra

Upłynęło wiele lat, kiedy pewnego pięknego lipco- wego dnia, rankiem we wsi Z. wybrałem się z wędką na połów pstrągów. — Połów udał się dość dobrze, bo- wiem kilka pstrągów przyholowałem. Właśnie słońce w całym swym majestacie ukazało się z poza góry i zło- tym promieniem ogrzewało z nocnego uśpienia potężne bory, muskając swym purpurowym warkoczem, dzikie szczyty Karpat.

Już leśne i polne kwiaty rozwarły swe kielichy nasy- cone kroplistą rosą, chyląc kornie korony, jakoby wdzięczne „Wielkości" za dane im piękno życia. Już to łagodne powietrze a promienna cisza przesycona aroma- tyczną wonią ziół górskich i śpiew różnobarwnego ptac- twa — to cud, to piękno „Natury matki".

W upojeniu uroku budzącego się zjawiska przyrody, usiadłem na skalnym złomie tuż nad wodospadem, na chwilę błogiego spoczynku. — Zapaliwszy papierosa z którego to siny dymek roztaczając kłęby, unosił się po- nad opary wodne, zadumałem się, a myśli moje uleciały hen w daleki przestwór ponad strzeliste jodły i smereki i wzrok mój spoczął u stóp szczytu Magury, — gdy zadumę mą przerwał odgłos kroków nadchodzącego ku mnie starego gajowego.

Dzień dobry Panu! — Ot, jakie Pan sobie ciche i pięk- ne miejsce wybrał na spoczynek. — Hej, hej, nałowił ja się tu dość pstrągów, a jak Pani hrabina zjechała, to trze- ba było codziennie świeże dostarczać, et, co o takich drobnostkach gadać, — to zabawka dla chłopaków, wli- zie ci w wodę, wrazi pod kamień rękę i już go ma, dla myśliwego to nie pasuje, ha — ta chyba lulkę zapalę!

najpierw przewody żółciowe, a z tych przenoszą się zarazki na wątrobę. Infekcja w przewodach żółciowych powstaje skutkiem przedostania się oocysty z oslonki sporozoit najprawdopodobniej drogą Ductus choledochus dostaje się do przewodu żółciowego w wątrobie, gdzie bakterje te osiedlają się i rozpoczynają swoją pracę niszczycielską. W jaki sposób sporozoity wydostają się z przewodu żółciowego nazewnątrz, dotychczas nie stwierdzono, przypuszczalnie pasorzyty te mają możność aktywnego poruszania się. Kokcydje w przewodach rozmnażają się najpierw sposobem schizogonji, następnie sporogonji. Ostatnio wymienioną formę rozrodu zauważa się przeważnie w widzialnych gołem okiem ogniskach, znajdujących się na błonie śluzowej przewodu żółciowego. Rozmnażaniu zapomocą gamogonji towarzyszy nieraz jeszcze przez dłuższy czas rozmnażanie zapomocą schizogonji, tak, że tkanki zniszczone przez pasorzyty, które z biegiem czasu odrastają, zostają na nowo zniszczone. Podwójne rozmnażanie się kokcydyj powoduje u zajęcy zazwyczaj wielkie zmiany w przewodzie żółciowym.

Makroskopiczne badania wykazują przy kokcydiozie przewodu żółciowego, powiększenie wątroby, a na jej powierzchni obecność w większej ilości szarawo-białych do szarawo-żółtych ognisk. Ogniska te są wielkości ziarna konopi, a nawet orzecha laskowego, które pokryte są gładką błoną i wystają nieco ponad normalną powierzchnię wątroby. Ich rozmieszczenie na powierzchni wątroby jest nieraz bezładne, lecz przeważnie występują one w szeregu z góry oznaczonym. Często zlewają się ogniska w jedno, tworząc krótkie pary pod błoną wątroby. Ogniska utworzone przez pasorzyta odróżniają się przy dotyku od otoczenia wątroby specjalną miękkością. W przekroju widzi się w tak zmienionej tkance wątroby, tworzące się wewnątrz kanaly i jamy, zawierające szarawą, białą do żółtej, ropną lub serowatą masę. Odgraniczenie ognisk od reszty wątroby są wyraźne z powodu otoczenia ich tkanką łączną. Jak Felsenthal i Stamm twierdzą, masę taką spotyka się również w wielkich przewodach żółciowych i pęcherzu żółciowym.

Gruzełki, jak i kanały, zawierające kokcydje są to miejscowe rozszerzenia przewodów żółciowych, których ściany wykazują swego rodzaju większe lub mniejsze zgrubienia nabłonka, tworzą z czasem wyrostki, które rozgałęziają się na wszystkie strony do wewnątrz, tworząc przegródki i rozdzielając przewód żółciowy na kilka komór. W ścianie i otoczeniu mogą powstawać — według Heindla — komórki olbrzymie. We wszystkich komórkach nabłonka tworzących gruzełki, a przedewszystkiem tych, które pokrywają zgrubienia, spotyka się kokcydje w kształcie schizontów, oraz makro- lub mikrogametocytów (stadjum poprzedzające makro i mikrogamety). W młodszych gruzełkach znajdują się w większości schizonty, zaś w starszych — gametocyty.

(C. d. n.)



Dmytro zapaliwszy faję, splunął, chrząknął, cmoknął, fuknął jak odyniec, wstał, popatrzył w dal i znowu. Et, psiakrew, hej minęły to czasy, minęła młodość panie, — taj zdrowie, oj, Panie — Panie, jak ja był młody — no, no!

Tak Wam Dmytrze żal za młodością, musicie mieć drogie wspomnienia, a wszak wiecie, że każdy miał swoją młodość i każdy ma miłe, lub smutne wspomnienia młodości.

Żal panie! ale co opowiem panu leśniczemu, jakie mnie raz paskudztwo napadło. Tfu, pek mu!

Ot tam, widzi pan na tej polance pod Magórą, a już temu będzie z górą pół kopy lat, kiedy raz wieczorem wybrałem się na zasiadkę.

Puszka moja była nabita lotkami i po jednym „sztolu" podwiniętemi w kłakach, a panewki świeżo podsypane.

Na tej to polance stał stóg świeżo zebranego siana z jednej połowy pola, a na drugiej części tej polany zasiany był owies, który już dobrze się wysypał i zaczął żółknąć.

A że czasem do tego owsa zachodziły dziki, poszedłem zasiąść na nie. Wybrałem więc stóg siana, na którym urządziłem zasadzkę, a skąd doskonale widziałem i miałem dobry strzał. Wydrapawszy się na stóg, zakopałem się w siano tak, że tylko głowa i ręce wolne były, wiatr miałem dobry i widok do lasu zupełny.

Za chwilę, kiedy już zaczynało się zciemniać, usłyszałem na skraju lasu chrząkanie dzikich świń, które powoli zbliżały się do owsa, nareszcie raptem wszczął się jakiś hałas wśród dzikich świń, kwik, łomot, jakiś ryk, w tem jak ditko cosik czarne wielkie pędzi wprost do stoga.

Pozieram lepiej, a to niedźwiedź, a za nim za przeproszeniem honoru pańskiego świnie pędzą i gryzą się, — a kiedy niedźwiedź gnał tak wprost do stoga, a mnie

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Ciąg dalszy)

By się przekonać, kto był ten gość nierozpoznany — odszukajmy jego trop. Ten nam wyjaśni niejedno. Pamiętać bowiem należy, że lew to przebiegły „blender"* (jak go zwą niektórzy) i nie jednego, rzetelnego myśliwego w błąd wprowadził. Swoją drogą, trop lwa na twardym gruncie jest prawie niedostrzegalny. Jeszcze gorzej, gdy go nam przyjdzie odszukać wśród traw i zarośli. Ale przy pewnej wytrwałości i tam go można wypatrzeć. Wszędzie bowiem znajdą się miejsca niezarośnięte z odrobiną pyłu lub piasku, a wtedy na tej płycie drukarskiej, odcyfrujemy odpowiedź na tą zagadkę. — Gdy jednak przypadek zdarzył, że ów gość przeszedł brzegiem strumienia po mokrym piasku lub wilgotnej glinie — to pieczęć jego herbu została tam najdokładniej wytłoczona.

Przedstawi ona nam właściciela łapy, przed którą należy mieć respekt.

Lew przy zwyczajnym wolnym kroku — pozostawia ślady swych łap (tak przednich jak i tylnych nóg) o jednakowym rysunku. Jest to odcisk stopy i czterech poduszeczek palców we formie korony herbowej o czterech pałkach.

Gdy galopuje lub skacze — wytłacza taki herb o pięciu pałkach, ale tylko łapami przedniemi — przyczem poduszeczki palców są mocno rozchylone, a obok (w kierunku skoku) rysy z pazurów, które w tym czasie z pochew się wysunęły.

Rysunek odcisku łapy przedniej, gdzie i piąty (wielki) palec jest w grze — pokrywa nieledwie podwójną przestrzeń — jaką zostawia po sobie odcisk łapy zwiniętej. W ten sam też sposób rozwija drapieżca łapę dla uchwycenia zdobyczy.

Zdobycz dosięga w skoku. Jeżeli skok pierwszy zawiódł, bo lew znalazł się za daleko od swej ofiary, aby ją z przysiadu przychwycić — ponawia skok jeden i drugi, przyczem ostatni — bywa czasem ogromnej rozpiętości.

Skoki siedmio- lub ośmiometrowe (w dal) nie są czemś nadzwyczajnem. Notowano także skoki rekordowe. Powołując się na p. Grogana, jednego z prawdziwie szczęśliwych łowców w spotkaniach z lwami — przytaczam taki rekordowy skok lwicy. Zwierz ten, po strzale, oddanym przez p. G. do innej sztuki — wymykając się bokiem w pełnym galopie — przesadził gładko (clean jump) rzeczkę, 34 stopy ang. szerokości.

Oceniwszy ciężar zwierzęcia, (wyrośnięta i w dobrej formie lwica waży do 200 kg) to możemy sobie wyobrazić jak silne i elastyczne być muszą odnóża, które taki ciężarek, gładko, przez podobną przeszkodę przerzucić mogły. Skoki na wysokość już nie są tak efektowne. Przez mury, parkany i płoty — chociażby dwumetrowej wysokości — nie waży się skakać, nie sprawdziwszy poprzednio, co go poza płotem spotkać może, biorąc bowiem przeszkodę w jednym skoku, mógłby się znaleźć niespodzianie w położeniu bardzo kłopotliwem. To też początkowo nie mogłem wyjść ze zdziwienia, kiedy w czasie obozowania w puszczy, moi ludzie ubezpieczając nasze legowiska na noc, układali zasiek z naciętych gałęzi — jedynie do wysokości półtora metrowej. Obecność większej liczby ludzi i ogniska tam tlejące wystarczały — ich zdaniem — aby lwa powstrzymać od skoku do środka.

Za to do ogrodzeń, gdzie się znajduje bydło, lew skoczy przy każdej sposobności, zwłaszcza podczas ciemnej nocy.

* omamiciel — cygan.

---

jakiś strach opadł i bałem się strzelić do niego, naraz niedźwiedź pod stogiem, podnosi się na łapy, a ja pomyślałem, oho już po mnie kaput. — Ale jak bieda, tak niema czasu ani poskrobać się, daję nura w siano, strzelbę przy sobie i cicho ukryty czekam co z tego będzie?

I kiedy już dobrze się wgrzebałem, tak wujek akurat dokumentnie wlazł na stóg, a mnie z tego strachu zrobiło się raptem zimno i gorąco i za przeproszeniem honoru pańskiego bardzo ciepło taj miękko w nogawicach i paskudny fetor.

Niedźwiedź wylazłszy, usiadł na skraju stoga tuż koło mnie a świnie pod stogiem zwyczajnie jak świnie, zaczęły fukać, rechotać i drzeć się do stoga.

A że to świnie z przeproszeniem nie ustępywały, tak niedźwiedź brał w łapy siano i ciskał tem na dziki, które jeszcze więcej się darły. — Kiedy niedźwiedź powtarzał te sztuczki ze sianem, a brał siano z ponad mej głowy, pomyślałem, że tu już mój koniec, bo za jednym zamachem porwie mnie i ciśnie między dziki. — Ha — buło ne buło!

Jak by mnie coś dziogło, że trzeba życie ratować, więc jak niedźwiedź spokojnie sy siedział i z góry mrugał (wichał) na świnie, tak ja raptem się podniosłem i z całą siłą pchnąłem niedźwiedzia ze stoga na dół, a porwawszy strzelbę, strzeliłem w sam łeb jego, a z drugiej lufy ubiłem jeszcze dzika, a reszta pouciekała.

Ba, to też po całem tem paskudztwie, niby to w nogawicach, miałem niedźwiedzia i jednego dzika, i tak mój honor był uratowany.



Lew atakuje zdobycz przeważnie od tyłu. Jeżeli nią jest zwierzyna większa i silniejsza — stara się w skoku tak usadowić na karku, aby możliwie natychmiast dobrać się do kręgosłupa, tuż za głową, wbiwszy tam kły, które działają jak obcęgi — miażdży kościec, a śmierć ofiary następuje momentalnie.

Nie tak jednak łatwą przedstawia się sprawa, gdy w chwilowym wierzchowcu, którego dosiadł, ma starego bawoła lub jedną z wielkich antylop, wojowniczego usposobienia. Zwierzęta te, poczuwszy na sobie niebezpiecznego jeźdźca — gwałtownemi ruchami usiłują go z siebie zrzucić, przyczem wiwijaniem rogami i wygięciem w tył głowy — starają się najniebezpieczniejszą część kręgosłupa chronić. Niestety odsłaniają wtenczas szyję, gardziel, z czego w mig korzysta ten sprawny chirurg i przegryza tętnicę lub krtań. Chociażby przy tej sposobności otrzymał potężne razy, a nawet był zmuszony do puszczenia ofiary — jest już ona zgubioną, bo ginie po jakimś czasie z upływu krwi.

W zapasach z poważnym przeciwnikiem nie zawsze jednak wychodzi zwycięzcą.

W kraju Augonieli opowiadano mi o wypadku, jaki się rozegrał pomiędzy lwem a bawołem. Świadkiem tego był murzyn-myśliwy, który w noc księżycową na bawoły się zasadził. Gdy bawoły zwykłym swoim szlakiem idąc ku wodzie się zbliżały, na jednego z nich (zdaje się byka), który znalazł się na boku — skoczył lew. Nie trwało chwili, a bawół już się z nim uporał, zahaczywszy lwa rogiem od tyłu — przerzucił przez głowę i tam racicami do reszty zmasakrował. Bawół porządnie krwawiąc, cało uszedł (zapewne tylko powierzchownie pokaleczony) bo go ów strzelec w pobliżu nie odnalazł.

Słyszałem również o podobnem zdarzeniu z antylopą końską (Hippotragus niger). Napadnięte przez lwa zwierzę, silnym zwrotem głowy w tył, przebiło na wylot siedzącego na jej grzbiecie drapieżcę. Zginęła wprawdzie od ran zadanych jej przez napastnika, ale i on zginął także, przygwożdżony niejako do jej grzbietu. Znaleziono oboje bez życia — leżące w śmiertelnym splocie.

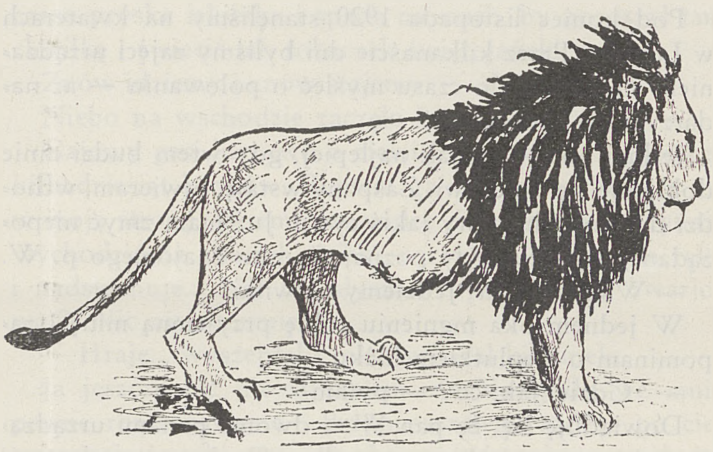
W łowach na zwierzęta żyjące wc wielkich stadach bierze zazwyczaj udział cała lwia rodzina. Jakich fortelów podówczas lwy używają, nie miałem sposobności sam sprawdzić, jednak z licznych opowiadań tubylców-myśliwych z ojca i dziada, wywnioskowałem, że nie tylko pomagają sobie wzajemnie, ale polują niejako z naganką. Opowiadali, że lew — skoro stado wielkie i trzyma się kupą — rzadko waży się zaatakować pierwszą lepszą z brzegu, chociażby była ku temu sposobność. Instynkt samozachowawczy — a może także doświadczenie — pouczyły go, że źle obrana chwila, może i dla niego być zgubną. Bywało, że lew skoczywszy na grzbiet, nawet mniejszej antylopie — dostał się w jednej chwili w wir tłoczących się i goniących setek ciał antylopich, a ściągnięty na ziemię — poważnie racicami był poturbowany.

Innym razem przymusowy taki jeździec na karku bawolim, którego nie zdołał wczas śmiertelnie uszkodzić, wleczony był przez rozgoniony tłum zwierzęcy tak długo, aż wystraszony i wyczerpany, zdecydował się na ucieczkę po karkach uciekinierów. Z tej zapewne racji, starają się zazwyczaj lwy odbić tę lub ową sztukę od stada i wpędzić ją do zasadzki, gdzie z nią już łatwiej mogą się uporać. W tym celu ustawiają się w ten sposób, że gdy jedne podkradają się pod stado — idąc pod wiatr — inne zachodzą od strony przeciwnej, by swoim wiatrem wypłoszyć stado i zwrócić je w nieładzie ku zaczajonym towarzyszom. Najczęściej w czasie takiej naganki, słabsze i młodsze zwierzęta, nie mogąc nadążyć za goniącem stadem — stają się łupem lwów.

Żeby jednak lwy — jak to również gdzieniegdzie mówiono — miały się w większe gromady łączyć dla ułatwienia sobie łowów — wydaje mi się nieprawdopodobne. Nie potwierdzili tego nigdy ani rzetelni myśliwi tubylcy, ani biali. Zresztą takie stadne współżycie — nie leży w naturze kotów.

— — — — — — — — —

(C. d. n.)



M. SZCZEPAŃSKI

Wspomnienia z Polesia

(z pamiętnika)

Będąc chłopcem, stanowczo więcej interesowałem się polowaniem, niż łaciną. To też całe wakacje ganialiśmy z braćmi po lesie, wpierw z łukami, potem z starszym bratem, który już miał strzelbę, w końcu i sam też z prawdziwą strzelbą.

Smarkaczy nie brało się na poważniejsze polowania. Czasami na podjazd na rogacza, a już balem była możność stania na stanowisku na polowaniu wigilijnem!

Lukę tę wypełniałem słuchaniem opowiadań po polowaniu, czytałem „Łowca" i przynajmniej w ten sposób można było coś niecoś ukraść z tych wrażeń myśliwskich, które narazie pozostawały dla mnie tylko w marzeniach.

Wychowany w okolicach podkarpackich, gdzie wód prawie żadnych nie było, nie wiem dlaczego, szczytem moich mażeń było być kiedyś na Polesiu. Marzenie to

tem bardziej zdawało się być nieosiągalnem, że dzielił od Polesia kordon.

Często wpatrywałem się w widoki Rapackiego z Polesia. Chciałem przeniknąć te opary... Tajemniczość Polesia pociągała.

A jednak Pan Bóg łaskaw! Wojna światowa — rok 1918 — Polska Niepodległa — Cud nad Wisłą — i o dziwo jako polski oficer maszeruję na Pińsk—Łuniniec.

Znalazłem się na Polesiu!

Zobaczyłem te same widoki Rapackiego.. A w końcu przypadło mi w udziale to szczęście, że przeżyłem moc niezapomnianych wrażeń myśliwskich, które może swoją rzeczywistością przewyższyły nawet moje marzenia chłopięce.

I dziś znów tęskniąc do tego Polesia, z wdzięczności za jego czar i urok, kreślę tych kilka wspomnień, nie kusząc się w zupełności na stylistyczne zwroty i malownicze opisy. Jestem młodym niedoświadczonym myśliwym. Opisuję tylko to, co widziałem, przeczułem i przeżyłem, to — za czem dziś tęsknię.

— — — — — — — — — — — — — —

Pod koniec listopada 1920 stanęliśmy na kwaterach w Łuninie. Przez kilkanaście dni byliśmy zajęci urządzaniem się i nie było czasu myśleć o polowaniu — aż nadarzyła się sposobność.

Jednej nocy śpię jak najlepiej, gdy wtem budzi mnie dobijanie się do drzwi. Zaspany wstaję, otwieram, wchodzi do mojej kwatery jakiś cywil. Już mam zmyć niepożądanego gościa, gdy poznaję w nim znajomego p. W.

— Wstawaj pan! Jedziemy na wilki!

W jednem oka mgnieniu robię przyjemną minę i zapominam o cieplutkiem łóżku.

— Gdzie, jak, co? — pytam.

Dowiaduję się, że pan W. z dwoma panami urządzają polowanie wigilijne na wilki. Co kraj to obyczaj! U nas takie polowanie urządza się na zające a na Polesiu trudniej o zająca a łatwiej o wilka.

Uradowany, że tak niespodziewanie będę mógł być na tradycyjnem polowaniu wigilijnem i do tego na wilki, ubieram się, zabieram strzelbę i sztucer, ładuję się do sań i jedziemy.

Droga prowadzi przez las.

Po kilku urywkowych zdaniach, każdy z nas zamknął się w sobie. Każdy przeżuwa swe myśli, każdy chce przeczuć, czy nie zdradzi go Djana. Wzrokiem chcę przebić zmrok, wszędzie chcę już widzieć dwoje jarzących się oczu. Dojeżdżamy w końcu do B..

Na leśniczówce zastajemy gospodarza, na stole kipiący samowar, butelki — aż dusza się raduje na takie przywitanie. Zaczynamy pierwszy „miot"! Przy rozmowie o polowaniu, o wilkach, zjadamy z wilczemi apetytami śniadanie. Naturalnie nie padło ani jedno pudło. Jak na początek dobrze, a może aż nadto dobrze. Nagonki jeszcze niema. Nie spodziewali się nas tak wcześnie.

Pierwsi przybyli gajowi. Meldują o wilkach i przyglądają się nam. O jednym z nich, Hryć się nazywał, opowiada leśniczy cuda. Stary wyga — wilczarz.

Nagonka się zebrała. Każdy Poleszuk, jak to u nich jest w zwyczaju, z potężną pałą i często siekierą za pasem. Ruszamy pieszo do niedalekiego ostępu. Po niejakim czasie nagonka odłącza się. Po drodze podchodzę do Hrycia, częstuję papierosem i zagaduję po białorusku. Polesiuk spojrzał na mnie mądremi oczyma, w których czytało się: no w ten sposób da się co zrobić, — podziękował i zaczął opowiadać o prognostykach dzisiejszego polowania, o wilkach, o wabieniu, o zdarzeniach. Słucha się tych prostych słów a tak bardzo wymownych bardzo mile. Dochodzimy do miejsca, gdzie zaczynać się mają stanowiska myśliwych. Hryć na skraju polanki wskazuje mi miejsce.

— Panoczku tut budut wołki!

To zdanie jakby w nagrodę, że słuchałem jego opowiadań. Zatrzymuję się. Rozglądam się wkoło. Przedemną rzadki las, z tyłu i prawej strony polana niewielka. Coś nie wierzę, żeby takie mądre zwierzę, jak wilk, mógł tędy przechodzić, ale zdaję się na opinję Hrycia. On musi coś wiedzieć, gdy ja tymczasem dopiero pierwszy raz w życiu chciałbym chociaż wilka zobaczyć. Opieram strzelbę o drzewo, wygniatam śnieg pod nogami, biorę sztucer do ręki i czekam.

Mijają chwile, które zdają się być wiekami. W końcu zdawało mi się, że posłyszałem daleki, przytłumiony głos naganiacza. Cisza. Naprężenie nerwów dochodzi do maximum. W tem na prawo wskos widzę pomiędzy drzewami wolno poruszające się zwierzę. Nie ulega najmniejszej wątpliwości — wilk. Zdąża w moją stronę. Widzę drugą sztukę...

Do głowy wpadają mi różne pomysły, jak nie zdradzić się i nie spłoszyć ich. Zwolna podnoszę sztucer do ramienia i probuję zmierzyć. Jakby chciały zmienić kierunek lub zauważyły mnie, będę strzelał — przychodzi mi myśl. Konstatuję, że muszka sztucera lata w okropny sposób. Przy takiem celowaniu i słoniabym nie trafił. Denerwuję się tem więcej. Całą siłą woli postanawiam panować nad sobą. Przecież nie darowałbym sobie chybionego strzału.

Idą stępo. Od czasu do czasu przystają i nadsłuchują w stronę nagonki. Widzę oba wilki doskonale. Są już na odległość około 60 kroków. Głowy nieco w dół opuszczone, paszcze na pół otwarte, języki zlekka wystają. Jakby odbyły dłuższy bieg. Boję się dłużej wytrzymywać. Mierzę w pierwszego na komorę. Strzał. Wilk pada. Chce się podnieść. Zdążyłem już zarepetować. Strzał. Leży i wije się na śniegu. Strasznemi ślipiami patrzy w moją stronę. Ciągle otwiera i zamyka paszczę. Przychodzi na myśl, a nuż źle strzelony, wstanie i pójdzie. A potem co ja powiem? Leżał, naprawdę leżał, nie przepuszczałem... Dobrze, dobrze, odpowiedzą, ale poszedł. Pakuję trzecią kulę do leżącego i dopiero teraz zacząłem się interesować drugim. Po pierwszym strzale idący z tyłu drugi wilk, jakby zdziwił się, że strzelony przewraca się, przystanął na moment i dopiero po drugim strzale zawrócił szybko zpowrotem. Po trzecim moim strzale widziałem go na przeszło 100 kroków. Próbuję

zmierzyć, ale gdzie tam... muszka jeździ po całym lesie, do tego ciągle drzewa zasłaniają — tymczasem tracę go z oczu. Odkładam broń. Przypatruję się mojemu wilkowi. Naturalnie nie żyje ale oczy ma otwarte i jeszcze lśniące. Wyglądają jak żywe. Wtem na lewo odemnie padają dwa strzały, a potem znów dwa pojedyńcze coraz dalsze. Cieszę się. Widać i moi towarzysze mają coś do roboty. Z radości i ciekawości nie mogę się już doczekać nagonki. Gdy posłyszałem już bliskie hukania, nie mogłem wytrzymać i podszedłem do zabitego wilka. Strzelałem na pięćdziesiąt kilka kroków. Wszystkie strzały obok siebie na komorze. Zawstydziłem się sam przed sobą z powodu moich młodych nerwów, no ale pocieszam się, strzały bez zarzutu.

Nagonka schodzi i ku zdziwieniu widzę od strony sąsiadów niosą jednego, drugiego i trzeciego wilka. Radość nie do opisania. Każdy z nas ma wilka. Sąsiedzi zdaleka widząc przy mnie ubitego wilka, krzyczą: alež pan strzela! jak z karabinu maszynowego!

Naturalnie w takich wypadkach, każdy myśliwy opowiada z największą dokładnością, jak on szedł a jak on strzelił... I tak byliśmy zajęci dopiero co minionemi wrażeniami, że nie zauważyliśmy, co się dzieje z naszemi wilkami. A tymczasem naganiacze walili pałkami po wilkach, co się wlezie.

— A szczob tebia chalera... a ty menia karowu zjeł... a ty...

Ledwo siłą odsunęliśmy ich od tropów. To zemsta za szkody, jakie rabusie te wyrządzają wśród trzód.

W miłym nastroju, szczęśliwi, pełni wrażeń wracaliśmy do domu.

Tak złożyło się, że wszyscy czterej ubiliśmy po pierwszym wilku w życiu.

— — — — — — — — — — — — —

Przyszła wiosna i mój pierwszy wyjazd na toki głuszczów.

Jeszcze w czasie zimowych wieczorów, mój gospodarz a zarazem gajowy, wtajemniczał mnie w życie wiosenne na mszarach i błotach poleskich. Najwięcej opowiadał o tokach głuszczów. Świetnie naśladował pieśń na toku, sposób podchodzenia, wszelkie możliwości, tak, że byłem teoretycznie przygotowany do pierwszego tego myśliwskiego występu.

Jednego cichego i słonecznego dnia wyjechaliśmy popołudniu sześć km w głąb lasu. Na miejscu wybraliśmy suchy kawałek terenu, gdzie zatrzymaliśmy się, żeby zanocować.

Przed zachodem słońca ruszyliśmy paręset metrów dalej, żeby być na zapadzie.

Po jakimś czasie siedzenia, usłyszałem charakterystyczny trzask uderzenia skrzydeł, po chwili znów drugi dalszy, cichszy... Po określeniu dokładnem kierunku i odległości, wróciliśmy do wozu.

Noc już zapadała. Posiliwszy się nieco, położyłem się na sianie między dwoma ogniskami. Leżąc, patrzyłem w górę. Gałęzie sosen falowały pod wpływem działania ciepła ognisk, a hen daleko w górze migotały gwiazdy na ciemno szafirowem niebie. — Zasnąłem. Lecz niedługo zbudziło mnie przejmujące zimno. Ogniska dogasały. Zbudziłem gajowego. Zlazł z wozu, dorzucił gałęzi na ognisko, poczem siadł obok na pniaku i pykał fajkę. Podsycone ogniska buchnęły snopami dymu i iskier. Suche gałązki trzaskały, wyrzucając iskierki poza ogniska. Zmieniały się w pręt jarzący się, czerwony, poczem skręcając się i podnosząc jak wąż, który chce dosięgnąć swej ofiary, łamały się i padały między węgle. Różowe światła migały po okolicznych pniach drzew, rzucających cienie, które łączyły się z mrokiem.

Leżałem tak chwilę, wpatrując się w ogniska. Nagle z ciemności wydarł się przykry, tragiczny krzyk żórawi. Krzyk, który w myśli robi wrażenie, jakby te ptaki znienacka napadł drapieżnik, chwytał, one zdołały wydać krzyk trwogi i — zginęły.

— Panoczku, treba wstawaty, nada ity...

Gajowy wziął łuczywo i wolno idziemy w stronę, gdzie wczoraj zasiadł kogut. Co chwilę stajemy i nadsłuchujemy. Cisza. Słychać tylko brzęczenie bekasa. Światło łuczywa ślizga się po pobliskich pniach a od czasu do czasu pryska iskierka i spada na mech, by pozostać tam chwilkę i świecić jak robaczek świętojański.

Znów idziemy i znów stajemy.

Niebo na wschodzie zaczęło blednąć.

Gajowy gasi łuczywo o ziemię. Posuwamy się jeszcze kilkadziesiąt kroków. Raptem gajowy staje. Obraca się w moją stronę. W zmroku widzę, że oczy mu zaczynają wychodzić na wierzch, ściska coraz silniej mnie za rękę i nadsłuchuje... Nic nie słysząc, myślę: Chłop zwarjował? Nic nie rozumiem.

— Hraje... wyszeptał i ręką wskazał kierunek.

Ja jeszcze nic nie słyszałem. — Nastąpiło we mnie pewne rozczarowanie. Przypuszczałem, sądząc po cietrzewiach, że taki ptak jak głuszec, gdy tokuje, to chyba cały las dudni, a tymczasem...

Umówiliśmy się już przedtem co do samego podchodzenia: on będzie mnie trzymał za lewe ramię, jak naciśnie, to znaczy głucha pieśń — można trzy kroki skakać.

Podeszliśmy jeszcze kilkanaście kroków ciągle przystając i dopiero teraz rozróżniałem pojedyńcze klapnięcia: tak, tak, tak... Wytężam jeszcze bardziej słuch... czuję, serce zaczyna żywiej bić, coś zaczyna się dziać z człowiekiem niesamowitego... Gajowy chwyta mnie za ramię... Chwytam strzelbę w obie ręce przed sobą, nerwowy ucisk w ramieniu i zaczynamy skakać...

Stając, słyszę coraz lepiej całą kaskadę. Dźwięczne klapnięcia, wpierw pojedyńcze, głośniejsze, urywane, potem coraz szybsze, w końcu głos jakby głośne połknięcie — jakby odkorkowanie butelki i znów trzy skoki. Znów kaskada... Słyszę jak serce wali mi młotem... Pieśń następuje po pieśni... Całą siłą panuję nad sobą, żeby nie zrobić w zapędzie więcej kroków. Już słyszę początek szlifowania. Patrzę po drzewach. Nic nie mogę zobaczyć wśród ciemnych gałęzi. Jeszcze jedna pieśń, i wpadamy w krzak leszczyny czy iwy. Patrzę, na kilkanaście kro-

ków, na czubku niewysokiej sosny widzę czarną sylwetkę ptaka z rozpostartym ogonem i wyciągniętą szyją. Słyszę ostatni takt szlifowania. Urwał... Strzelba w gałęziach, więc czekam jeszcze jednej pieśni, by się uwolnić z tych niemiłych więzów, lecz ostrożny ptak nie śpiewa więcej. Szyję pochyla kilka razy w naszą stronę... Głośne uderzenie skrzydeł i spłynął między gałęziami sosen w szarą przestrzeń.

Stałem jak zdrętwiały. Nie miałem siły zmierzyć i strzelić do zlatującego.

Wtedy dopiero zrozumiałem powód zachowania się gajowego, gdy usłyszał tokującego głuszcza.

Wolno wracaliśmy do wozu. Gajowy niezadowolony, że tak spartaczyłem, a ja szczęśliwy, że przeżyłem tyle emocjonujących chwil.

Następnego ranka nie znaleźliśmy głuszcza, gdyż w nocy zerwał się wiatr. Przeczekałem więc kilka dni i po ustaleniu się pogody wybrałem się znów z tem, że ewentualnie zapoluję na cietrzewie.

Wieczorem żaden kogut nie zapadał. Postanowiłem więc, że zasiądę niedaleko w przygotowanej budce na cietrzewie a gajowy tymczasem zbada, gdzie tokują głuszce.

Z łuczywem podprowadził mnie gajowy do budki i zaznajomił z terenem.

Usiadłem i czekam. Ciszę od czasu do czasu zamąciło brzęczenie bekasa. Na wschodzie zaczęło się niebo nieco rozjaśniać, ale zmrok jeszcze panował, że widać nie było na kilkanaście kroków. Gdzieś daleko zaczuszyczył cietrzew.

Po chwili usłyszałem przylot koguta, ale nie mogłem go jeszcze zobaczyć. Zaczął bełkotać i puszyć się. Za chwilę znalazł się już drugi i trzeci. Zacząłem już rozróżniać sylwetki krzaków, lecz cietrzewi nie widziałem. Słyszałem łopot skrzydeł, czuszykanie, bełkotanie. Poczęły się bić. Po chwili poczynałem rozróżniać sylwetki podskakujących ptaków. Raptem poza sobą posłyszałem szum skrzydeł i momentalne czuszykanie. Odwracam się i widzę ciemną plamę i na chwilkę zabłysło mi białe lustro. Strzeliłem. Wyskakuję z budki i dopadam o kilkanaście kroków nieżywego trubadura.

Siadam z powrotem. Cisza. Gdzieś daleko słychać tylko bełkotanie. Moje koguty po strzale porwały się, odleciały. Dłuższy czas siedzę, koło mnie spokój. Dopiero po dłuższem czekaniu, ponad głową przeleciał kogut i siadł dość daleko odemnie. Zaczął bełkotać. Po jakimś czasie znalazł się opodal drugi. Powstał gwar od bełkotania. Czasami z pobliskich krzaków doszło kwokanie kury.

Wschód tymczasem coraz bardziej się różowił. Od ciemnego fioletu dalekiego lasu odbijały się śliczne pastelowe tony: złoty, jasno-pomarańczowy, seledynowy i przechodziły aż w błękit. Świtało. Cietrzewie przerwały koncert. Nastąpił szabas — jak Poleszucy nazywają. Naokoło cisza niczem nie zamącona. Wpatrywałem się w te dyskretne barwy, gdy nagle usłyszałem z boku potężny szum i coś siadło obok. Rozchylam cicho gałązki sosnowe, z których zrobiona była budka i widzę na kilkanaście kroków dwa żórawie. Ta niespodzianka wyprowadziła mnie z równowagi. Delikatnie, powoli biorę oparty obok sztucer i chcę go przepchać przez gałązki. Widzę tymczasem, że jeden z nich ma nieco rozpostarte skrzydła i żywszemi krokami chodzi obok drugiego. Czy wydawał przy tem jakieś głosy, nie zdołałem zapamiętać. A więc nie ulega wątpliwości, że to konkury. Przyszła mi myśl, żeby strzelić w czasie mijania się i ewentualnie oba zabić, gdyż o dublecie nie było mowy. Nastaje taki moment. Strzelam i — pudło. Widać tak byłem zaabsorbowany tą myślą, by strzelić mijające się, że nie wycelowałem dokładnie. Znieruchomiałem. Za wielkie rozczarowanie mnie spotkało a zarazem kara za zachłanność.

Pogodziłem się w końcu z losem. Zabrałem sztucer, strzelbę i cietrzewia i zobojętniały wolno wracałem w stronę biwaku. Po drodze spotkałem gajowego. Opowiedziałem mu o zdarzeniu. Dowiedziałem się, że żórawie odbywają też coś w rodzaju tokowiska i że przechytrzyłem jedną z rzadkich okazyj.

Za kilka dni znów znalazłem się w lesie. Wyszedłszy sam przed świtem, widać zmyliłem kierunek i dłuższy czas błądziłem, ciągle przystając i nadsłuchując, czy nie gra tajemniczy królewicz puszczy. Ale niestety tylko cisza i zmrok mnie otaczały. Drżę na myśl, czyżby znów miał mnie spotkać zawód? Tak wolno posuwając się, w jakimś momencie słyszę, że zleciał z łoskotem z pobliskiego drzewa ptak. Napewno on... Ale chyba nie. Inny był zlot niż w pierwszym pamiętnym dniu... Może głuszyca... albo jakiś inny ptak. — Ostrożnie cichutko posuwam się dalej.

Nagle dość blisko doleciało mnie: tak, tak, tak, — dłuższa przerwa i znów: tak, tak, tak... i popłynęła pieśń... Zacząłem skakać. Pieśni były urywane, następowały dłuższe przerwy. Emocjonuję się tem bardziej. Aż kilka pieśni jedna po drugiej. Skaczę i stwierdzam ze strachem, że coś za dużo kroków robię, tembardziej, że pod nogami czuję mokry teren, nawet czasem wodę. Postanawiam jedną pieśń pauzować dla uspokojenia się. Tymczasem już rozjaśniło się tak, że odróżniałem wyraźnie drzewa i gałęzie na kilkadziesiąt kroków. Po kilku skokach widzę na grubej gałęzi tokującego głuszca. Stanąłem wryty. Słyszę kaskadę... podnoszę broń do ramienia — i w czasie szlifowania wstrząsa powietrze strzał. Z drzewa spada z głuchym uderzeniem o ziemię król miłosnych pieśni błót i borów poleskich.

— — — — — — — — —

Jednego pogodnego popołudnia wybrałem się do lasu, by zapolować z krekuchą na kaczory. Za mną szedł gajowy i niósł w koszu krekuchę. Wybrałem małe bagienko z lustrem wody na łączce wśród lasu. Gajowy kilkoma gałęziami zrobił na brzegu improwizowaną budkę po części zakrywającą nas od strony bagienka i nad głowami. W końcu wbił kij w pośrodku wody, przymocował sznurek na którym za nogę była uwiązana krekucha i puścił ją na wodę. Krekucha znalazłszy się na

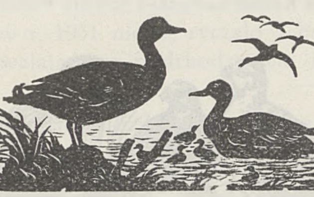
wodzie, zaczęła zaraz się pluskać, dała nurka, podniosła się z wody, rozpostarła skrzydła kilka razy, otrząsając się z wody i rozkosznie z zadowolenia zakwakała. Z największą satysfakcją obserwowałem zachowanie się krekuchy. Pływała, zanurzała głowę, zakwakała i znów dziobem czegoś szukała w wodzie, zaczęła czyścić sobie pióra, ale od czasu do czasu kwakała.

Minęła chwila. Słońce już niedaleko było zachodu. Drzewa oświetlane żółtem światłem świeciły, pnie zdawały się żarzyć jak rozpalone żelazo.

Krekucha poruszyła się, podniosła głowę, skręciła na bok i jednem okiem patrząc w górę, zakwakała. Posłyszeliśmy świst skrzydeł... znów zawabiła, a z góry doleciał nas poważny, basowy głos zwabionego kochanka. Przeleciał, okrążył ponad drzewami łączkę i z ostrym świstem i szumem wpadł na wodę. Płynie w stronę krekuchy i wabi. We mnie nerwy grają, serce bije jak młotem. Wprawdzie to tylko kaczka, ale nastrój robi swoje. Chcę zmierzyć, lecz gajowy wstrzymuje ręką. Za blisko kaczor był krekuchy. Tymczasem kaczor zoczył niebezpieczeństwo. Zrywa się. Pada strzał — i ptak spada do wody, a krekucha, która w czasie strzału dała nurka, wypływa uradowana ze spełnienia zdrady i jakby ze śmiechem zakwakała nad naiwnością zapalczywego zalotnika.

Krekucha ożywiła się. Coraz częściej kwaczy, rusza się nerwowo i pływa obok zatkniętego kija.

Za chwilę znów świst, plusk i już widzę naprzeciw siedzącego kaczora. Ciemno-zielonawa głowa i szyja, przepasana białym pasemkiem jakby krawatem, lśni się. Zakwakal namiętnie, lecz nie płynie. Krekucha nie rusza się, jakby niewzruszona przymilaniem się amanta. Zmierzyłem — strzał. Kaczor zostaje wśród kępek trawy.



A. SANDER

Jeszcze o szczurze piżmowym

W uzupełnieniu artykułu zamieszczonego w Nr. 8 „Łowca" donosimy, że w Dzienniku ustaw R. P. w Nr. 33 pod poz. 342, ogłoszoną została ustawa z dnia 10 marca 1932, dotycząca szczura piżmowego.

Ustawa ta ma raczej charakter zapobiegawczy: zabrania ona ochraniania szczurów piżmowych na wolności, przechowywania ich w stanie żywym i wypuszczania ich na wolność. Ustawa dopuszcza zresztą nawet hodowlę szczurów piżmowych, przy zachowaniu środków ostrożności, wyłączających możliwość wydostania się tych zwierząt na wolność.

Kwestję „ofenzywnego", że tak powiemy, tępienia szczurów piżmowych, porusza ustawa jedynie w ustępie ostatnim, art. 1, gdzie upoważnia Ministerstwo Rolnictwa do wydawania przepisów o tępieniu szczurów piżmowych na wolności i do nakładania w tych przepisach na właścicieli i użytkowników nieruchomości obowiązku współdziałania w tępieniu tych zwierząt w wymienionych nieruchomościach.

Przy tej sposobności przytaczamy, że według notatki w „Kurjerze Warszawskim" z dnia 17 kwietnia 1932 w Anglji i Szkocji zostały wydane ustawy o szczurze piżmowym. W krajach tych bowiem, podobnie zresztą jak w Szwecji i w Norwegji, wprowadzono już po wojnie, niebacznie hodowlę tego zwierzęcia, które wydobywszy się z przestrzeni zamkniętych, rozmnożyły się w ilościach groźnych.

Według tej samej notatki szczura piżmowego sprowadził pierwszy do Europy w r. 1906 do swych dóbr Dobrisza w Czechach hrabia Colloredo-Mansfeld, który nie przewidując skutków swego postępku, wpuścił do swych stawów 2 samce i 3 samice. Już w r. 1914 stwierdzono obecność piżmoszczurów w odległości 150 km od Dobrisza.

SŁONKA

(SONET WIOSENNY)

Z zimowej przystani, gdzieś z kraju Achilla
Zdąża ku nam tajemnym, sobie znanym szlakiem,
Podobna do wielkiego, szarego motyla
Słonka ukochana... Chce spocząć pod krzakiem

Chroniącej olszyny, bo srodze strudzona
I spożyć robaczka, co pod listek śpieszy...
Wówczas myśliwego swym widokiem cieszy,
Litość w sercu budząc... Marna to obrona...

Bo oto inni łowcy szykują swe sprzęty,
Wyruszają do lasu na wieczorne ciągi
I ostają na duktach, jak nieme posągi...

A gdy w górze zakwili ciągnąca ptaszyna,
Witają salwą strzałów nocnego pielgrzyma,
Aż póki nie opadnie ciosem śrutu ścięty...

WŁ. G.

Rzeszów, w kwietniu 1932 r.

†

JULIUSZ hr. TARNOWSKI

ziemianin, członek M. T. Ł. i były członek jego Wydziału, zmarł w dniu 25 kwietnia b. r. we Lwowie, mając lat 75.

Ze Zmarłym schodzi do grobu postać nieprzeciętna, Człowiek niezłomnego charakteru, nieustraszonej odwagi przekonań, skromny, surowy dla siebie, pobłażliwy dla drugich, o anielskiem sercu, najlepszy przyjaciel, śpieszący zawsze z radą i pomocą, pracowity rolnik, fanatycznie miłujący swój warsztat pracy.

Znakomity myśliwy i hodowca zwierzyny, był długoletnim członkiem i prezesem myśliwskiego Towarzystwa lisowieckiego, z którego wystąpił przed kilkoma laty, gdy wiek podeszły stanął Mu na przeszkodzie w pełnieniu czynnej służby pod sztandarem Św. Huberta.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie tracąc w Zmarłym wiernego przyjaciela, grubą okrywa się żałobą. — W imieniu Wydziału Towarzystwa i redakcji „Łowca", w imieniu tych, co z Tobą polowali, co Cię czcili i kochali, rzucam na Twą mogiłę garść ziemi tak bardzo przez Ciebie ukochanej.

Cześć Twej pamięci, pokój Twej przezacnej duszy!

A. M.

W. Panu Dr. Janowi Opolskiemu

autorowi artykułu

Kłusownik a Starostwa i Sądy

w odpowiedzi

W numerach 2 i 3-cim „Łowca" z 1932 r., wypowiedział p. Dr. Opolski szereg uwag, przeważnie słusznych na powyższy temat.

Nie wchodząc tu w meritum sprawy, stwierdzamy co następuje:

Pan dr. Opolski był w swoim artykule niezwykle surowym sędzią, skrytykował Wydział M. T. Ł., Starostwa, Policję Państwową i kilku autorów, skrytykował myśliwych-ziemian i Towarzystwa myśliwych. Starał się być ironicznym, a to każdemu autorowi wolno; dodaje to nawet suchym elaboratom pewnej pikanterji. Był jednakże i autorem niesprawiedliwym — a tego natomiast robić się nie powinno.

Najzupełniej słusznie stara się Szanowny Autor „Sądownictwo choć w części usprawiedliwić i ochronić na przyszłość przed niesłusznemi przeważnie krytykami" — bo tam gdzie są ludzie i błędy być muszą — ale nigdy nie wolno ich generalizować. — Generalizowanie błędów pociąga za sobą najczęściej czyjąś krzywdę a tego ze względów etycznych robić się nie godzi. Szanowny Autor broniąc słusznie Sądownictwo przed nieprzemyślaną krytyką — popada równocześnie w ten sam błąd i uogólnia swe zarzuty — zarzuty niekiedy ze stanowiska łowieckiego potworne.

Gdzie Szanowny Autor widział Starostów tolerujących biernie „kłusownictwo" ziemian; — gdzie widział poważne Towarzystwa myśliwskie, wchodzące stale w kolizję z artykułami karnemi; gdzie i jakich widział członków Towarzystw myśliwskich, którzy strzelają do zajęcy w maju; — w jakiem województwie i w jakim powiecie widział członków Towarzystw myśliwskich, tkwiących pod lasami dworskiemi dniem i nocą i skierowujących broń w cudze; — gdzie widział wreszcie „kłusujących" ziemian?

Bylibyśmy bardzo wdzięczni Szanownemu Autorowi, gdyby zechciał nam na te pytania odpowiedzieć.

My takich starostów ani takich ziemian nie znamy — nie znamy takich Towarzystw myśliwskich a o takich zbrodniczych praktykach ich członków nie słyszeliśmy także dotąd.

Można być zwolennikiem lub przeciwnikiem danych ludzi czy danych Towarzystw — popierać coś lub zwalczać — ale najsurowsza krytyka musi być zawsze uzasadniona, oparta na stwierdzonych faktach i poważna.

Tego o krytyce p. Opolskiego powiedzieć niestety nie można — uogólnia ona zarzuty — jest więc krytyką niesprawiedliwą w całem tego słowa znaczeniu.

Rzeszów, dnia 20 marca 1932 r.

Jan Jędrzejowicz
Senior delegatów S. Z. S. Ł. i M. T. Ł., na powiat Rzeszowki
Prezes powiatowej Komisji Łowieckiej

Dr Adam Szczęsny Midowicz *Władysław Gürtler*
Stanisław Korwin - Milewski
delegaci P. Z. S. Ł. i M. T. Ł., na powiat Rzeszowski
członkowie powiatowej Komisji Łowieckiej

Stefan Dąmbski *J. Jarochowski*
członkowie Komisji Łowieckiej powiatu Rzeszowskiego



Wystawa psów rasowych we Lwowie

Z inicjatywy Małopolskiego Tow. Rolniczego, odbędzie się w dniach 25 i 26 czerwca b. r. w jednym z pawilonów, na placu powystawowym Wystawa psów rasowych.

Zwracając uwagę Myśliwych na powyższą okoliczność, wyrażamy nadzieję, że dzięki Ich zainteresowaniu się, dział psów myśliwskich, obficie będzie obesłany. Po blankiety zgłoszeń i regulamin wystawowy należy zgłaszać się pod adresem Lwów, Targi Wschodnie — Wystawa psów, lub do biura M. T. Ł.

KORESPONDENCJE

Jarosław, dnia 20 kwietnia 1932 r.

Dnia 17 b. m. zaszedł u nas jak na miasteczkowe stosunki dość oryginalny fakt. Mianowicie do koszar 24 pułku art. lekkiej, położonych obok stacji kolejowej w samem mieście, o godz. 6-tej rano, zleciał cietrzew-kogut i siadł pod budynkiem, gdzie go złapali żołnierze. Trzymam go w klatce, gdzie zachowuje się z wielką swobodą a nawet arogancją wobec ludzi, gdyż po wsadzeniu ręki do klatki, puszy się, bełkocze i atakuje dziobem. Od pierwszego dnia zjada owies, hreczkę, groch moczony i t. p., rankami bełkocze, jak na tokowisku.

Wprawdzie znane są takie ekscentryczne wycieczki cietrzewi podczas toków, jednak nie tak dalekie, gdyż lasy, gdzie znajdują się cietrzewie, leżą od Jarosławia w odległości 12 km.

W tych dniach wybieram się na toki, więc wypuszczę go na wolność.

M. Szczepański

Nawojowa 19 kwietnia 1932 r.

Jako delegat M. T. Ł., składam niniejszem krótkie sprawozdanie z tegorocznego sezonu myśliwskiego z mojej okolicy.

W południowej części powiatu nowosądeckiego, największy kompleks lasów należy do podpisanego. Obejmuje on 9.000 ha lasów górskich, tereny gminne dzierżawione wynoszą około 5.000 ha, graniczę od południa z lasami państwowemi Krynica — Muszyna, z lasami gminy Piwniczna, od zachodu z nadleśnictwem państwowem Stary Sącz.

Zima zeszłoroczna zaczęła się u nas już w końcu września — olbrzymim opadem śniegu, dochodzącym w wysokości (ponad 1000 m n. p. m.) do jednego metra, który z jednej strony wyrządził kolosalne szkody w drzewostanach, z drugiej strony zapewnił karmę na zimę zwierzynie, przez połamanie iwiny, osiczyny, buków i jaworów, tak iż mimo trwania bardzo śnieżnej zimy, aż do początku kwietnia, strat w zwierzostanie nie zauważono. — Jedynie rysie goszczące u nas dość często, kilkadziesiąt sztuk sarn rozdarły.

Rykowisko było w r. 1931 niezłe, ryczało 5 byków, do których nie strzelano, zadowalając się podchodzeniem i wspaniałym widokiem.

W r. 1931/2 padło sztuk: dzików 10, rogaczy 4 (na podchodach), ryś 1, lisów 9, zajęcy 125, jarząbków 2, ptactwa szkodliwego 87, psów 6.

Na terytorjum Nadleśnictwa Państwowego Muszyna padło: 1 dzik, 1 rogacz, i 10 zajęcy.

Na terenie Spółki Myśliwskiej starosądeckiej ubito: 120 zajęcy i 30 dzikich kaczek (na Dunajcu).

Adam Stadnicki, delegat M. T. Ł.





Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł., w dniu 20 kwietnia 1932 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni Wiceprezesi: W. hr. Gołuchowski, A Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, W. Garapich, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, Dr. Piechowski, Dr. Rosienkiewicz, A. Ulm, Dr. W. Ziembicki; zastępcy członków: Z. Gronziewicz, St. Madeyski, hr. Meraviglia. Zaproszony Juljusz hr. Tarnowski. — Nieobecność usprawiedliwili: Dr. St. Gajewski i St. Pieńczykowski.

Przed przystąpieniem do porządku dziennego, zgotowali członkowie Wydziału Prezesowi Juljuszowi hr. Bielskiemu serdeczną manifestację.

Oto w chwili gdy Prezes przystąpił do stołu obrad, zasłanego kwiatami, przemówił do niego jego długoletni współpracownik i towarzysz z pod znaku św. Huberta, wiceprezes Towarzystwa A. Mniszek, w te słowa:

„Czcigodny i Kochany Prezesie!

Zdziwiony jesteś może tą naszą dzisiejszą kwiatową manifestacją. Jest ona naturalnym, żywym odruchem naszych serc, przepojonych radością, że Cię dzisiaj powitać możemy jako pierwszego Honorowego Członka Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. Związek, udzielając Ci tej godności, dał Ci to, co miał najcenniejszego, a Ty jako myśliwy z dziadów pradziadów, z krwi i kości, musisz odczuwać wielkie, bo zasłużone, zadowolenie. Cieszymy się z Tobą razem, bo radość Twoja jest naszą radością. Dzisiejsza jednak nasza owacja ma jeszcze cel inny. Składamy Ci hołd za 35-letnią pracę w Wydziale naszego Towarzystwa, a 30-letnią pracę w Prezydjum, w charakterze Wiceprezesa, a później Prezesa Towarzystwa. Czterdzieści lat blisko pracy dla jednej idei, to już stanowi treść życia, to już są wieczyste z nią śluby. Pracowałeś z nami i z tymi co byli tu przed nami, których św. Hubert kolejno wywoływał do swej służby w rewirach niebieskich, lub z tymi, którym wiek i inne obowiązki życiowe kazały opuścić nasz Wydział; pracowałeś snać owocnie, skoro polskie społeczeństwo łowieckie w uznaniu Twych zasług wetknęło w Twe dłonie dwie największe buławy. Posiwieliśmy razem pod sztandarem św. Huberta, stary nasz Wodzu, przeżyliśmy dni radości, przetrwaliśmy dni klęski, a długoletnie koleżeństwo wyrobiło między Tobą a nami, stosunki przyjaźni, obopólne zaufanie i szacunek. W dowód czci głębokiej, jaką dla Ciebie mamy, w dowód wielkiej naszej dla Ciebie sympatji, ofiarowujemy Ci drobiazg, który, sądzimy, że będzie Ci miły, gdyż przedstawia on godło Twego ukochanego Towarzystwa. Ofiarowujemy Ci złotą kozicę z życzeniem, by Ci ona przez długie jeszcze lata była towarzyszką na łowach, wśród grania ogarów i odgłosu strzałów, wśród pieśni starych jodeł karpackich."

Po słowach tych wręczył A. Mniszek Prezesowi odznakę Towarzystwa, wykonaną w złocie, nadto ozdobny adres, podpisany przez członków Wydziału.

Wzruszony tą manifestacją, podziękował za nią Prezes w ser-

decznych słowach, poczem przystąpiono do porządku dziennego, w pierwszym rzędzie do wysłuchania sprawozdania delegatów M. T. Ł. na Walne Zgromadzenie Stowarzyszeń Związkowych, odbyte w Warszawie, dnia 17 b. m. Delegatami byli prof. dr. W. Ziembicki i M. Chrzanowski, a z Oddziału M. T. Ł. w Krakowie Adam hr. Starzeński.

Delegat prof. dr. W. Ziembicki przedstawił w obszernem sprawozdaniu bardzo trudne stanowisko delegatów w rozwiązaniu nieporozumienia w sprawie odznaczeń, które doprowadziło do rezygnacji Prezesa. Podkreślił, że do zaostrzenia sytuacji przyczyniło się niestety w wielkiej mierze sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. z dnia 15 lutego b. r., wydrukowane w „Łowcu" Nr. 5. Pomijając sam fakt przedwczesnego publikowania sprawy przed jej wszechstronnem i wyczerpującem wyświetleniem, sprawozdanie to zawierało pewne ogólnikowe zarzuty, wybiegające poza incydent odznaczeniowy i dotykające Zarząd Związku, co nie leżało w intencji ani prezesa, ani Wydziału M. T. Ł. Delegat streścił przebieg posiedzenia Zarządu Związku z dnia 16 b. m., w którem delegacja M. T. Ł., wraz z Prezesem hr. Bielskim wzięła udział i na którem, dzięki zdecydowanie dobrej woli obu stron, udało się cały konflikt załagodzić, tak dalece, że przewidziane poprzednio odniesienie się z całą tą przykrą sprawą do Walnego Zgromadzenia Związku, okazało się zbyteczne. Natomiast na wstępie Walnego Zgromadzenia hr. Bielski w pięknem i serdecznem przemówieniu wystąpił z wnioskiem wyrażenia uznania Zarządowi Związku za dotychczasową działalność, delegat zaś M. T. Ł. odczytał deklarację tej treści, że Zarządowi Związku nie można zarzucić systematycznego nieuwzględniania interesów łowiectwa małopolskiego. Wniosek hr. Bielskiego przyjęło W. Zgromadzenie przez aklamację, poczem owacyjnie powitało jednomyślny wniosek Zarządu Związku, wypowiedziany przez przewodniczącego zgromadzenia, b. min. Skulskiego, na mianowanie hr. Bielskiego pierwszym członkiem honorowym Związku. Wobec znanej już i stanowczej rezygnacji hr. Bielskiego ze stanowiska prezesa Związku, gdy nadto okazało się wskazanem, ażeby prezes Związku mieszkał w stolicy, przystąpiono do wyboru prezesa. Został nim wybrany wśród objawów powszechnego uznania i długotrwałej aklamacji, gen. dyw. Kazimierz Sosnkowski. Następnie, po ponownym wyborze tych członków Zarządu Związku, którzy ze starszeństwa ukończyli byli swe mandaty, wybrani zostali nadto w skład Zarządu dwaj przedstawiciele M. T. Ł., w osobach: Wojciecha hr. Gołuchowskiego i Marjana Chrzanowskiego. Wreszcie piątym wiceprezesem Związku wybrany został Maurycy hr. Potocki.

Zkolei zabrał głos M. Chrzanowski, dodając ze swej strony niektóre uwagi i szczegóły z odbytych w Warszawie posiedzeń, poczem całość sprawozdania uzupełnił w obszernem przemówieniu Prezes hr. Bielski, dziękując wkońcu pp. delegatom za współpracę, w szczególności prof. Ziembickiemu, za podjęcie się delegatury i skuteczne wywiązanie się z niej.

Wydział M. T. Ł. przyjął powyższe sprawozdanie przez aklamację do wiadomości, przyczem wyrażono radość z powodu wyboru na stanowisko prezesa Związku gen. Sosnkowskiego, którego osoba daje wszelkie rękojmie znakomitej reprezentacji i skutecznej obrony interesów łowiectwa polskiego.

Przystępując do 2 punktu porządku dziennego, ustalono termin Walnego Zgromadzenia M. T. Ł. na ostatnie dni czerwca, a to ze względu na zapowiedziane na ten czas Targi Wschodnie i Wystawę psów, co zaś do strzelania popisowego, odbędzie się ono wtenczas, jeżeli do dnia 1 czerwca zgłosi się odpowiednia liczba uczestników.



Komunikaty

Nadleśnictwo w Zielonej zawiadamia, że po myśli zatwierdzonego planu, posiada w bieżącym sezonie polowań wiosennych do odstrzału jednego głuszca. Tokowisko znajduje się w leśnictwie Gawor, stacja kolejowa Nadwórna, stamtąd jazda kolejką leśną do Nadleśnictwa w Zielonej i ew. dalej do kotliny Maksymiec, łącznie 26 km.

Dalsza jazda wierzchem aż pod samo tokowisko około 2½ godziny. Bezpośrednio obok toku, znajduje się koliba.

Opłata za głuszca wynosi:

1) za prawo polowania	28 zł.
2) „ zabicie głuszca dopłata . . .	42 „
3) „ zranienie	42 „
4) „ chybiony strzał	42 „

Jako termin jednorazowego polowania na jedną sztukę głuszca wyznacza się trzy ranki.

Wobec powyższego uprasza się M. T. Ł. o podanie treści niniejszego pisma do wiadomości członków Szan. Towarzystwa z tem nadmienieniem, że prośbę o zezwolenie na odstrzał głuszca kierować należy wprost do Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie, ul. Chorążczyzny l. 17.

Inż. Romanowski, nadleśniczy m. p.



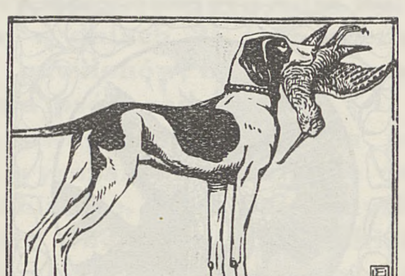
WYSTAWA I TARG PSÓW RASOWYCH.

W dniu 21 kwietnia b. r., z inicjatywy Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego we Lwowie, zawiązał się Komitet dla zorganizowania przy tegorocznych Targach Wschodnich we Lwowie Wystawy i Targu psów rasowych. Protektorat Wystawy raczył przyjąć Prezydent m. Lwowa, Wacław Drojanowski. W skład Komitetu Honorowego weszli pp.: Juljusz hr. Bielski, Marja ks. Lubomirska, Albert hr. Mniszek, Rektor Akademji Med. Wet. Bronisław Janowski, Prezes M. T. R. Kazimierz Papara, Generał Bolesław Popowicz, Prezes Maurycy Trybulski.

Komitet Wykonawczy składa się z szeregu miłośników i znawców psów. Przewodniczącym Komitetu Wykonawczego wybrano p. Alberta Mniszka, wiceprezesem p. Aleksandra Ulma, sekretarką p. S. Nikorowicz. Sprawami sanitarno-weterynaryjnemi kierować będzie p. Marjan Prus Strowski.

Dla nawiązania kontaktu z Władzami centralnemi wydelegowano do Warszawy p. inż. Tadeusza Sroczyńskiego.

Zainteresowani Wystawą zechcą się zwrócić po bliższe informacje do Sekretarjatu Wystawy — Lwów, ul. Kopernika 20 (Małopolskie Towarzystwo Rolnicze).



Redaktor odpowiedzialny Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16